

NEUROZA W PAŃSTWIE NARCYZMU I PLASTIKU, CZYLI UPADEK HUMANIZMU

Na wstępie muszę wyraźnie powiedzieć, że wieszczanie humanistycznego końca to nasze *spécialité de la maison* – od magistra do profesora. To znak firmowy rejtanowsko-wampirycznej szkoły, gdzie nawet Kasandra poczułaby się speszona. Jednak dzisiaj – gdy naprawdę kończą się żarty, gdy grozi nam biologiczna zagłada – mówienie o upadku jest kokieterijnym wołaniem na puszczy, gdzie zza każdego drzewa i krzaka wychyla się prorok. Akademia musi uważać na tę puszczyę proroków. W tym na moje słowa.

Jeszcze do niedawna dawałem wiarę sinusoidzie klasyka – profesora Krzyżanowskiego, który wskazywał, że naszą historię współtworzą naprzemiennie epoki jasne i ciemne, że jest nadzieja, że mamy balans. Co ciemne nabroi, jasne naprawi i wyprostuje, i świat będzie toczył się dalej. Jednak, gdy tylko wnikliwiej przyjrzeć się historyczno-literackim peregrynacjom, na dobrą sprawę zawsze towarzyszyło nam poczucie, że jest coraz gorzej i gorzej, jakby upadek stanowił humanistyczne DNA, a zawołanie „kiedyś, to były czasy!”, zawracało nas aż do Homera. Od Holocaustu, od XX wieku ciągnie się epoka ciemna i na horyzoncie próżno szukać jaśniejszych widoków. Idziemy w mrok. Z popkulturą pod rękę – idziemy na wesoło i nie ma takiego zdarzenia, którego nie potrafilibyśmy zmienić w grymas... uśmiechu. Myślę, że ojcem założycielem świadomości końca jest Marek Aureliusz. Gdy waliło się rzymskie imperium i nadchodził czas barbarii, autor „Rozmyślań” ustanowił obowiązujący do dzisiaj podział: jednostka versus społeczny porządek wyrażany najczęściej za pomocą ideologii – tych topornych utopii dla naiwnych i początkujących.

I w tym sensie humanizm zawsze przegrywał ze społecznym porządkiem. Pamiętają Państwo zapewne tych wszystkich don Kichotów, Konradów i Kordianów, tych Borowieckich, braci Karamazow, Franzów K., Józiów, Chełmickich i Bazakbalów. Nazwiska można by mnożyć. Będąc kwintesencją człowieczeństwa swoich czasów, kończyli sromotną klęską. Zwyciężała ideologia, która z humanizmu czerpała jedną jedyną, elementarną rzecz: normę społeczną, by się nie pozabijać w obrębie liberalnych egoizmów bądź totalitarnych panoptikonów.

Bądźmy poważni, to znaczy – szczerzy: społeczeństwo i tak zwana ludzkość niewiele oczekuje od humanizmu. Co więcej, może to my: humaniści, poloniści, pisarze, krytycy, poeci, żyjemy w bańce ułudy, że jesteśmy światu cholernie potrzebni, bo dzieje humanizmu ukazują dobro, szlachetność, empatię, bo są koniecznym listkiem figowym wszelkich okrucieństw. Chcemy wierzyć, że humanizm niesie nadzieję, że jest rozgrzeszeniem. Tymczasem... tymczasem równolegle i w bardzo realnym świecie narasta pochód ignorancji, nieczułości i tępej władzy. Wszak i Państwu, w nowym roku akademickim, przyjdzie znowu narzekać, że ludzie nie czytają, że myli się im metonimia z melatoniną, a kulturowy infantylnizm tworzy nowe wcielenia Bazyliuszka. Jakbyśmy nie przepracowali Adorna, jakbyśmy wyparli piekło XX wieku – tego prestidigitatora katastrof i upadków. Och, przepraszam – przejęliśmy po minionym stuleciu technologiczny postęp i bezkarność postmodernizmu. Technologiczny postęp zaczął wzmacniać „pokoleniową akcelerację”, o której pisała jeszcze Hannah Arendt, więc już nie wiem, jak, z kim i kiedy się komunikować – wszystko odbywa się tak błyskawicznie, w szaleńczym tempie, więc trzeba za wszelką cenę komunikować przede wszystkim siebie, żeby zdążyć, żeby świat o mnie nie zapomniał, żeby świat mnie podziwiał i kochał *a priori*. Nie wiem, czy bardziej oczekujemy podziwu czy miłości? Staliśmy się narcyzami o wątpliwej urodzie, a byle pizza wrzucana na fejsa ma być ósmą tajemnicą fatimską naszego galopującego jestestwa. Z kolei postmodernizm wyrobił w nas przeświadczenie, że wszystko jest znakiem i biblioteką, wyłączną grą znaczonego i znaczącego, że historia dobiegła końca... Dobrze, okej, nie będę się pastwił nad Fukuyamą, sam w pewnym momencie mu zawierzyłem. I nagle – o zgrozo! to nie może być prawda! – wydarza się Bucza, Mariupol i Borodzianka. Niewiele trzeba,

żebyśmy się obrazili na rzeczywistość – no, bo jak tak można psuć spokój, bezpieczeństwo, dostatek i cofać nas o sto lat, może i więcej.

Zdradzę Państwu cytat, który przewrócił do góry nogami moje myślenie o humanizmie. To słowa Carla Lichtenberga, godne Ciorana w swoim sarkazmie. Lichtenberg oznajmił: „O tym, że człowiek jest najszlachetniejszym ze stworzeń można wnosić z faktu, że żadne inne stworzenie nie poddało tego stwierdzenia w wątpliwość”. I raptem z całą mocą uświadomiłem sobie, że jesteśmy panoszącym się intruzem. Kimś obcym, kimś kompletnie z zewnątrz, pośród milczącej większości istnień: zwierząt i roślin, ich wymierających, ginących gatunków, ich bezjęzycznego lamentu i śmierci, tylko dlatego, że człowiek chciwie i zachłannie powiększa swoją konsumpcyjną strefę komfortu. Jaki więc możliwy jest humanizm w tym kontekście? Jestem skandalem, a na pewno – bardzo grubym nietaktem. Intuicyjnie odwołuję się do ekopoetyk, do wypychania człowieka z centrum. Paradoksalnie to antyhumanistyczny gest nowego humanizmu. Nie wiem jednak, czy możliwy, ponieważ wymaga gigantycznej pokory i uważności spoza antropocenu. Pokora nie jest czymś, z czym ludzkość czuje się dobrze i w dodatku na dłużej. Możemy spokojnie na miesiąc, na dwa i to też w obrębie wyłącznie własnego świata. Płakaliśmy po Janie Pawle II, płakaliśmy po World Trade Center. Czy możliwy byłby płacz we wszystkich stolicach świata po śmierci nosorożca jawalskiego i wielu, wielu innych, zdychających – tak zdychających! – w zgiełku cywilizacji?... Ten cmentarz zdaje się nie do ogarnięcia, imiona i nazwy zwierząt szybko umykają z pamięci. Dodatkowo: potrzebny byłby tutaj nowy język, którego nie znamy. Język anty-ludzki w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Raz w tygodniu pakuję sortowany plastik do worków na śmieci. I nie Heidegger, nie Foucault, nie Bauman są miarą kondycji człowieczeństwa. Miarą kondycji człowieczeństwa stał się śmietnik. Kręcą się przy nim bezdomni i gołębie.

Muszę zrobić drobny przypis: najgorsze, że pragnę, że mówię i piszę to wszystko szczerze, jednak słyszę sam siebie. Brzmie teatralnie, melodramatycznie i banalnie. Jakby człowiek szamotał się w sieci oczywistości.

Szamotaniny ciąg dalszy: gdyby tylko humanizm umierał, dałoby się jeszcze wytrzymać. Ważne, że Żabka otwarta i disco polo na jedyńce. Dzisiaj jednak nieodwołalnie umiera Ziemia, niektórzy obliczyli jej pogrzeb na 2050 rok. To się

dzieje naprawdę! T o s i ę d z i e j e n a p r a w d ę. Jeśli wierzyć tej dacie, będzie ona inskrypcją na nagrobku humanizmu, tyle że nikt już jej nie odczyta. I humanista – *toutes proportions gardées* – jest miłoszowym chrześcijaninem, który patrzy na getto – to znaczy na dogorywającą w klimatycznej agonii planetę.

Jak powiedziałby Gombrowicz, przy całej „niewesołej sytuacji na kontynencie ludzkim”, pragnę optymistycznie zakończyć wystąpienie. Po pierwsze więc: nie możemy sobie pozwolić na łaskę pesymizmu, a jeśli już, niech ona będzie zgodna ze słowami Victora Miesela z powieści „Anomalia” Le Telliera. Bohater w krytycznym momencie życia wyznaje: „Prawdziwy pesymista wie, że już za późno, by nim być”. Po drugie: jak wiadomo – wedle starej, sprawdzonej metodologii religii nad Wisłą – istnieje katolik i istnieje katolik praktykujący. Obaj przyjmują różne formy angażujące. Idąc tym tropem można powiedzieć, że istnieją humaniści i humaniści praktykujący, dla których słowo „człowiek” nie jest pustą retoryką na watolinie frazesu, lecz bardzo konkretnym gestem, zanurzającym się w życie i egzystencję. I tego gestu humanisty praktykującego z całego serca Państwu życzę w nowym roku akademickim.

Mariusz Sieniewicz